

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Okna zabite na dobre

„Wierzy pani w to głównie, które opowiadam w wywiadach?” – szczerze pyta dramaturg rosyjski Nikołaj Kolada panią redaktor Annę Żebrowską, która z nim właśnie wywiad przeprowadza.

Istotnie, jest coś na rzeczy. Gdy człowiek wgłębi się w tę pogwarkę Polki z Rosjaninem przedrukowaną z „Wyborczej” w programie przedstawienia „Gaska”, prędko pojmuję, że rodak Antoniego Czechowa dobrze wie, o czym mówi, gdy pyta, o co pyta. Tak, jakoś nie sposób całego tego przez Koladę odmalowanego kolorytu lokalnego poważnie traktować. Gada – i od słowa do słowa, od zdania do zdania, z narracji malowniczej wyskakuje klasyczny, godzien folderów krajoznawczych, eksportowy portret twórcy piszącego w cieniu tajgi.

Rzecz jasna – życie na dnie. Skrobanie jakichś bzdur do gazetki przykładowej w mieścinie gdzieś na zapleczu imperium. Bida z nędzą. W sklepach tylko majonezy i schnący chleb. Zostaje – ochłaj. Długie dni hektolitrow, długie noce czekania na otwarcie sklepów, długie lata tańczących delirek, aż wreszcie cud – piórem w drżącej łapie Kolada zapisuje pierwsze takty debiutanckiej sztuki. Słowem – dramaturg, co zlął z jednej z taśmowo dzierganych rosyjskich makatek... Aliści, w środku tej agitki uroczej – dwa zdania inne. Zdania ciemne. „W nocy budzę się, nagrywam fragment dialogu na magnetofon. Leżę i po ciemku płaczę z bezsilności”. Płaczę z bezsilności. Szuka ukojenia. Płaczę. Sam na dnie czerni.

Tak, w środku pastelowych dyrdymałów dla dzieci zwiędzających Rosję – nagła szczelina barwy chłodnego popiołu. Nagłe otwarcie na ukojenie, przejście na podszewkę pastelowości, która jest tylko dziennym zagadywaniem lęków. Nie wiem, czy we wszystkich teatralnych opowieściach Kolady jest taka nagła zmiana intonacji, nie wiem, bo w końcu popełnił aż 82 opowieści, więc trudno znać wszystkie, ale w tych, co je znam – migocze popiół. Dokładnie tak, jak w wyreżyserowanej przez Tomasza Obara „Gasce”.

Przez pierwsze dwie trzecie przewala się przez scenę generalnie to, com wyżej streścił. Pastelowa rodzajowość prowincji imperium. Jakiś lichy pokoik na zapleczu teatryku na krawędzi upadku. Bida z nędzą. Opary gorzały wiszą nad wyrem. W aneksie kuchennym chyba tylko majonez i schnący chleb. Pod pierzyną siedemnastej świeżości – miejscowa kapłanka Melpomeny, niejaka Nonna (Iwona Sitkowska), i miejscowy kapłan Melpomeny, Fiodor (Tadeusz Łomnicki). Zaraz wychyną, bo zaraz do nory żalostnej miłości wpadnie kolejna kapłanka Melpomeny, Ała (Beata Schimscheiner). Wpadnie i rozpęta piekło. Rzecz jasna – piekło z zazdrości.

Za Ałą przybiegnie kapłanka Diana (Małgorzata Krzysicka) – połowica Fiodora, wresz-

cie stanie w progu kapłan Wasilij (Kajetan Wolniewicz), mąż Ały, z którym Nonna też kiedyś to samo, co teraz z Fiodorem. Albowiem kapłanka Nonna tak bardzo kocha teatr, że w każdej wolnej chwili dba o kapłanów... I tyle. Klasyczna komedia rodzajowa, często gęsto ocierająca się o „slapstikowe” tonacje. Rozwrzeszczane, godne krajoznawczego foldera piekiełko zazdrości gdzieś w norze na zapleczu nieczynnej toalety prowincjonalnego teatru na krawędzi upadku. Boki zrywać.

Od słowa do słowa, od zdania do zdania, od krzyku do krzyku spirala kabaretowych hec, kraszonych semantycznym mięsem, rozkręca się nieprzytomnie. Fruwają wszelkie obscena, buty i kubki. Porcelanowy nocnik pod wyrem skacze jak opętany. Pot zalewa skóry, fatałaszkę i pierzynę. Za chwilę ta blada banda gotowa rozpirzyć ściany... I właśnie wtedy Obara zatrzymuje koniec świata.

Na dwie, trzy sekundy bohaterowie kostnieją w pół gestu. Cisza jak głaz schodzi z nieba. Nocnik milknie. Nagle odchodzą światła. Nie widać nic. Może wtedy pięć skostniałych figur płacze z bezsilności? Może przez szczeliny w sercach, szczeliny barwy wystygłych popiołów – każdy przełazi na podszewkę opętańczych swych wrzasków sprzed chwili? Gdy wraca światło – powtarzają parę fraz, na których przerwali, ale powtarzają w zupełnie innej intonacji. Uspokoił się pot.

Obara zatrzymuje głupawy finał głupawego świata. Tym parosekundowym inscenizacyjnym zająknięciem dławi „slapstikową” rodzajowość, miążdży kabaretowe wice, z tych, co przez dwie trzecie opowieści byli tandetni i martwi niczym gipsowe figurki King-Konga na odpustowych straganach Mazowsza – wydłubuje ludzi żywych. Bardzo żywych. I jest tak, jakby każde następne zdanie w istocie znaczyło: już dość, już wystarczy, już dobrze, przytul mnie...

Tak oto tania komedyjka zazdrości zmieniła się w opowieść o poszukiwaniu ukojenia. Pierzchły rechoty, przepadły ryki, zdechły jazgoty. Wróciła mowa. Przybył ciemny spokój wiersza Anny Achmatowej, co go Obara jako motto „Gaski” w programie zamieścił. „Okna są zabite na dobre:/ Czy tam mróz, czy burza, czy słota?/ Twoje oczy są tak podobne/ Do oczu ostrożnego kota”. Nie wiadomo, co za oknami. A kilka wersów wcześniej: „Wszetecznicę z nas i pijacy,/ Niewesoło czas tu spędzamy./ A na ścianach kwiaty i ptaki/ Tęsknią za obłokami”. Nie tylko kwiaty z bibuły i wypchane sowy tęsknią. Ała, Diana, Nonna, Fiodor i Wasilij też. Już nie chcą się bać. Choć przez chwilę nie.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr Ludowy, Scena pod Ratuszem. Nikołaj Kolada „Gaska”. Reżyseria i opracowanie muzyczne Tomasz Obara. Scenografia i kostiumy Anna Sekuła.